

# O STYLU PÓŻNYM LEMA

ADAM POPRAWA

„Czy człowiek z wiekiem staje się mądrzejszy?” – pyta Edward W. Said w swojej świetnej, inspirującej książce (w przekładzie Barbary Kopeć-Umiastowskiej). No cóż, wystarczy przejrzeć zasoby rodzinne i przypomnieć sobie strumienie świadomości różnych starszych państwa na przyjęciach. Chyba że ktoś zdążył uznać kulturę życia rodzinnego za źródło wprawdzie odnawialnych traum, ale jednak już zamknięty rozdział biografii. Jasne, Saidowi chodzi o ludzkie przypadki *par excellence* wyjątkowe. „Czy długowieczny artysta w końcowym stadium pracy twórczej zyskuje jakąś wyjątkową zdolność percepcji i wypowiedzi?”. Najpierw udziela autor odpowiedzi pozytywnej, wspominając o dziełach, które „dzięki cudownej transfiguracji pospolitych realiów wioną świeżym duchem pojednania i spokoju”. Sprawa nie może przecież pozostać jednoznaczna. „Co jednak wtedy, gdy późność nie oznacza pogodzenia z losem i rozstrzygnięcia konfliktów, ale nieprzejednanie, krnąbrność, nierozwiązane sprzeczności?”. Ta sytuacja zajmuje Saida najbardziej: „styl późny jako doświadczenie napięcia całkowicie pozbawionego harmonii i kontemplacji, a nade wszystko swoista, celowo nieproduktywna produktywność pod prąd...”.

A jak rzecz się ma z późnym Lemem? Ostatnią powieść wydał w roku 1986 (pierwodruk w języku niemieckim, edycja polska w 1987), tak więc 20 lat przed śmiercią. Pisał jednak intensywnie również przez te dwie dekady, tyle że posługując się innymi gatunkami, w tym prasowymi. Teza raczej nie będzie sporna: w tym czasie Lem nie stworzył swojego odpowiednika *Die Kunst der Fuge*. Ani eseje, ani felietony z tamtych lat nie wioną bynajmniej duchem pojednania i spokoju. Napięć za to nie brakowało.

Ba! Czy jest taki entuzjasta pisarza, który nie pragnął, by w XXI wieku Lem wydał wielką powieść, łączącą intelektualny rozmach *Summa technologiae*, emocjonalną przenikliwość *Solaris* oraz komizm, pomysłowość i przewrotność opowiadań o Ijonie Tichym? Zamiast tego Lem zostawił parę tomów pism drobniejszych. Przypominam bibliograficzne fakty bez próby dociekania, czy była to wyłącznie kwestia niewymuszonej autorskiej decyzji, czy też miało tu swój udział (ewentualne, domniemane) wygaśnięcie powieściopisarskiej weny. W każdym razie felietony w „Tygodniku Powszechnym” i „Odrze” czytałem regularnie, z zainteresowaniem i przyjemnością (przynaję: niepozbawioną niekiedy uśmiechów, niekoniecznie w miejscach intencjonalnie komicznych).

Mówi zatem Said o zamierzonej nieproduktywnej produktywności pod prąd... Chyba coś jest na rzeczy, to znaczy da się tę myśl przymierzyć do późnych tekstów Lema w celach niewyłącznie ironicznych. Owszem, pisarz powtarzał się w felietonach, egzemplifikacja krytykowanych zjawisk kulturalnych nie była przesadnie rozbudowana, zdarzały się sytuacje cokolwiek osobliwe. *Cave Internetum*: Lem po wielokroć przestrzegał przed siecią (i nie mówię oczywiście, że bezzasadnie), aż któregoś razu napisał, że obstał sobie komputer i dziś przyjdzie sekretarz, żeby to wszystko poustawić i uruchomić. Zgoda, sprzeczności logicznej tu nie ma, jeśli jednak ktoś od lat właściwie dziecięcym jest specem od technologii...

W każdym razie: jeśli coś jest złe, głupie, szkodliwe i tak zwane „wszyscy o tym wiedzą”, to jeszcze nie powód, by o tym nie pisać, bo to coś nadal przecież działa i szkodzi. I tu wielki punkt dla Lema i jego ponawianych krytyk współczesności. W życiu społecznym, kulturalnym, politycznym i wszelkim innym zbyt często obowiązuje założenie „bo tak jest” i publicyści skupiają się nad kolejną książką rozesłaną przez sprytny dział promocji albo też tłumaczą, że polityk Iksiński z Partii Staroświecka strzelił w pysk polityka Igreka z Unii Kreatywnej, żeby zaktywizować lewe centrum tej partii w nadziei na potencjalną powyborczą koalicję. Niestety, brakuje Andersenowskich obserwatorów mody, stąd bezpośredniości Lema były i pozostają bezcenne. No i nie przejmował się Lem względami politycznej poprawności; dzisiejsi aktywiści dostaliby najpewniej apopleksji. Gdyby czytali. Cokolwiek.

Stephen Dedalus z *Portretu artysty w wieku młodości*, zapytany o ewentualność przejścia na protestantyzm, stwierdził: „Powiedziałem, że straciłem wiarę [...]. Nie powiedziałem, że straciłem szacunek do samego siebie. Bo jaka to byłaby wolność, gdybym odrzucił absurd, który jest logiczny i spójny, a przyjął absurd, który jest nielogiczny i niespójny” (przekład Jerzego Jarniewicza).

Lem natomiast, skądinąd ateusz, a co najmniej agnostyk, w świecie pozapowieściowym, przyznaje:

„I nie potrafię zrozumieć, jak można, będąc chrześcijaninem, przechodzić na islam. Dlatego zdumiała mnie w «Tygodniku Powszechnym» rozmowa z islamskim konwertytą, Piotrem Kalwasem, który na drugie imię przybrał sobie «Ibrahim». Ja bym jej nie opublikował: a jeśli ktoś się nawróci na religię czcicieli ognia, też będziemy z nim rozmawiać?”

I pomyśleć, że biednego Houellebecqa (dość skrótowo potraktowanego zresztą przez Lema przy innej okazji) ciągnano we Francji po sądach za przyczynę do religioznawstwa porównawczego.

Dla polityków, zarówno lokalnych polskich, jak i wszechświatowych, najczęściej nie ma Lem dobrego słowa, choć zdarzają się wyjątki. Sytuację problemów ekonomicznych w Niemczech porównuje do innej (ten cytat radzę nadwrażliwym czytelnikom przeskoczyć): „Historia się powtarza, w większej skali aniżeli w Anglii, gdzie pani Thatcher jednak górnicze związki zламаła, co Anglikom wyszło na dobre”.

Lem nie doczekał dnia, kiedy Lepper wycofał się z polityki, zdążył przecież zaproponować uwzględnienie w analizie sceny politycznej aspektu antropologicznego, skoro wspominał „billboard wyborczy Leppera, z bardzo poważnie podwyższonym czołem”.

I na koniec krytyka przesłania reklam: „Moja matka uznałaby zapewne, że to program dla służby domowej: jak najlepiej wyszorować podłogę, jak ugotować obiad i umyć naczynia...”. Nim się oburzycie w imieniu na przykład wykluczonych, pomyślcie, jak nas widzą nadawcy reklam, czyli – co tu dużo mówić – mydlarze i kamienicznicy. •